

RELACJA RYSZARDA ANDRYSA Z OBRONY WILNA 18-19 IX 1939 R.

Myśląc o tym, że się na front dostanę, zgłosiłem się nie do kompanii wartowniczej i nie tam, gdzie moi koledzy i mój nauczyciel rekomendował, natomiast wykorzystując znajomości zgłosiłem się do Komendy Miasta, tam powołując się na pułkownika Podwysockiego chciałem się znaleźć od razu jako jeden z pierwszych na froncie. Przy mnie znalazła się grupa kolegów myśląc, że ich do tego doprowadzę. I tu pierwsze rozczarowanie; bo myśmy zamiast na front trafili do kopania okopów. Dotarliśmy do Komendy Miasta, ale oni się nami nie zajmowali, nie mieli na to czasu. Powiedzieli, żeby poczekać, że będzie dyspozycja, że sierżant się po nas zgłosi. To było 1 września i już ubolewaliśmy nad tym, jak to zrobić, żeby być razem. O niczym innym nie myśleliśmy, jak tylko o tym, że będziemy na froncie i jakież było nasze rozczarowanie, kiedy nam zamiast mundurów wydano drelichy i łopaty i powiedziano, że jedną z ważniejszych akcji jest zabezpieczenie miasta, obrona przeciwlotnicza. Zaprowadzono nas na pl. Orzeszkowej, było tam więcej innych grup, ale ja mówię o swojej grupie. Myślałem, że skoro jest front, to trzeba walczyć, myślałem, że ich tam zaprowadzę, tymczasem zaprowadzono nas na pl. Orzeszkowej i tam kopaliśmy rowy. Kopaliśmy długo, w zygzaki, to była ciężka praca. Na placu Orzeszkowej skopaliśmy cały narożnik i wzdłuż ulic między drzewami. Kopaliśmy dwa dni, a na trzeci dzień skierowali nas na pl. Katedralny z tyłu za katedrą, koło cielętnika, i tam skończyła się moja kariera z tą grupką przy kopaniu rowów. Awansowaliśmy. Skierowali nas do służby przeciwlotniczej. Jak to wyglądało w obronie przeciwlotniczej? Dali nam lornetki, byliśmy w swoich harcerskich mundurach,

niektórzy pewuckich i w trzech tylko trafiliśmy do obrony przeciwlotniczej. Dostaliśmy też płaszcze wojskowe, takie plandeki. Nie dostaliśmy nawet pistoletów. Najpierw wysiadaliśmy w oknie profesora Jana Bułhaka na pl. Orzeszkowej. Tam była jakgdyby kwatera, a myśmy na sąsiednim budynku o płaskim dachu trzymali dyżury i obserwowali niebo. I to była makabra. Wysiadywanie na dachu, nalotów nie ma, nikt nie przylatuje, nikt nie bombarduje, co wyjdziemy na dach, to spać się chce i zimno. A jak wrócimy z dachu, to spać nie można, bo wrażenia są mocne, bo się słucha wiadomości wojennych, a jak na dach, to znowu się chce spać. Dyżury mieliśmy sześciogodzinne, zmieniliśmy później na dwunastogodzinne i po dwóch chodziliśmy, żeby nie zasnąć. I tak to trwało jeszcze parę dni, nie potrafię powiedzieć, do którego dnia, aż skierowany zostałem we własną dzielnicę, też przy obronie przeciwlotniczej. Koło Starego Zamku była jednostka przeciwlotnicza. I tu nas było trzech tylko. Myśmy początkowo głupio się czuli, potem z tymi żołnierzami zaprzyjaźniliśmy się nieco, ale służba w dalszym ciągu była taka sama, siedzenie i obserwowanie. Ale tu mieliśmy swoich żołnierzy, z tych podwileńskich miejscowości, wracaliśmy do nich, z nimi rozmawialiśmy, oni nas zapraszali na wiosnę do swoich wsi, bo wojna się miała skończyć za parę miesięcy, oni nam zachwalali swoje miejscowości, myśmy natomiast przekazywali im to, co przedtem w kółkach wychowawczych od oficerów pierwszej dywizji piechoty dowiadaliśmy się. Opowiadaliśmy im to i bardzo bliska komitywa z nimi nastąpiła. I wydawało nam się, że dalej tak to będzie trwało, że Niemcy nie mogą się tu dostać. No rzeczywiście, nalotów nie było. Naloty się zaczęły większe, o ile sobie przypominam, między 10 a 14 września. Właściwie alarmy,

nie tyle naloty, ile alarmy. Podrywano nas od razu w pogotowie, bo nadchodzi, my na stanowiska, okazywało się, że gdzieś tam na przedmieście zrzucił bombkę, ale do śródmieścia nie dolatywał. My mieliśmy za zadanie siedzenie na dachu albo w oknie, kiedy było spokojnie. Posiadaliśmy lornetki, których prawie nie używaliśmy, choć to było jedyne nasze wyposażenie wojskowe. Z tą nową jednostką czuliśmy się jak żołnierze związani, bo w mieszkaniu prof. Bułhaka jak gdyby nas postawili z boku, żebyśmy nie przeszkadzali, nie interweniowali, ale nie mogli nam powiedzieć "nie zawracajcie nam głowy", bo nas znali. Tak to odczuwaliśmy. Natomiast skoro znaleźliśmy się w tym około plutonie wojska, poczuliśmy się raźniej. Oni mieli cztery stanowiska czterokarabinowe. Niektórzy mówili o pięciu stanowiskach, ale mnie się wydaje, że były cztery i że były one usytuowane w obrębie tego zamku.

Rezultat był taki, że te dyżury były dla nas trochę męczące, bo my wychodziliśmy na dwanaście godzin, żeby nie pojedynczo, bo to tragedia, to lepiej we dwójkę. Było nas wtedy trzech i zawsze jeden "na zakładkę" po sześć godzin siedział. Jak żeśmy do tych żołnierzy wracali, to nie mieli co robić, to się wyspali w tym czasie, a myśmy zaczynali z nimi rozmawiać, to ich wiele rzeczy interesowało, i w rezultacie ta reszta czasu była przegadana i nie wysypialiśmy się i znowu pełni chęci ... snu, szliśmy na dach. Później dołączono do nas jeszcze trzech, to było nas sześciu ochotników na jednym punkcie. I zdecydowano, że po tym kopaniu rowów, po tych daniach czuwania, dają nam 48 godzin urlopu na odpoczynek, pomimo wojny, ale prawdę mówiąc nic się nie działo i za nas trzech tamta trójka została. I to była sobota. Ja mieszkałem niedaleko, na ulicy Lwowskiej. Udałem się do domu, bo przecież przeпоcony,

byłem, brudny z tego dachu, chciałem się wykąpać i jakoś odświeżyć.

Na następny dzień jesteśmy zszokowani: słyszymy o wybuchu wojny. To była prawdopodobnie jedenasta rano. Lata kukuruźnik nad naszą dzielnicą, i to tak ciekawie się złożyło, jakoby pilot chciał do nas mówić, zakręcił taki duży łuk aż nad Wilię i rzucił ulotki na nasze głowy. Teraz już nie pamiętam treści ulotki ani rysunku, nie zwracałem specjalnie uwagi. Dzisiaj spotykam w literaturze te ulotki, ale nie potrafię odpowiedzieć, czy tak one wyglądały. Z jednej strony naszej Wilili mieszkali Kontrymowie, a z drugiej strony inna część mojej rodziny. Jeden z moich wujków, który znał dobrze rosyjski, bo chodził do szkoły jeszcze przed pierwszą wojną, próbował tłumaczyć ulotki. Do niego zwrócili się mieszkańcy, sąsiedzi, żeby przeczytał, co oni tu w ogóle wypisują, lecz miał kłopoty z tłumaczeniem, czyli podejrzewam, że były pisane nie po rosyjsku, a po białorusku i to językiem niegramatycznym. Wujek, który znał dobrze rosyjski, nie potrafił od razu powiedzieć, o co im chodzi i po dłuższej chwili dopiero zorientował się, że "polskie pany, wykorzystujące, gnębiące chłopów, naród, uciekły; że oni idą nieść pomoc, biorą w opiekę". Były tam jakieś apele o przeciwstawianie się oficerom, nawoływania do buntu, slogany. Skontaktowaliśmy się (we trójkę) i pierwsza rzecz, idziemy do Komendy Miasta na Jasińskiego, w pobliże kościoła św. Jakuba, operetki, po lewej stronie z głębi patrząc do Mostu Zielonego, żeby wyjaśnić sytuację. Ale w Komendzie nie chcieli z nami rozmawiać. I właściwie nie mieliśmy nic do roboty, ale wskazano nam nasz punkt i żebyśmy tam siedzieli i tam się reszty dowiadywali. My tam przychodzimy w sześciu. Nie ma żadnych dyspozycji. Proponują nam tak, jak

było ustalone, korzystać z tego odpoczynku do następnego dnia, wrócić do domu. Myśmy jeszcze raz wrócili do domu. A 18 września już były niepokojące informacje o wdarciu się w głąb jednostek Armii Radzieckiej i tutaj jeszcze raz chcieliśmy przyspieszyć swój powrót do jednostki. Niespodziewanie raptem (po południu, ok. 16) ukazało się - jak dziś pamiętam, - "Słowo" organ Mackiewicza, jednokartowe, formatu normalnej gazety. Na tej karcie napisane u góry czerwonymi literami: Armia Angielska i Francuska zmierzają na Berlin, Hitler powiesił się, Armia Czerwona w popłochu ucieka na granicę, i cały szereg innych tego rodzaju komunikatów. Od innych dowiaduję się, że przedtem rzekomo taki sam komunikat podało radio. W Wilnie ciemnieje, bo to normalne i jednocześnie zapalają się wszystkie światła uliczne. Gazeciarze ten dodatek, ciągle dodrukowywany, roznoszą z okrzykami "Koniec wojny". Muszę dodać, że przedtem oświetlenie uliczne było wyłączone, obowiązywało zaciemnienie, a teraz całe miasto jasne. My po raz drugi przerywamy swój urlop. Znowuż zaskoczenie, my wściekli. Można powiedzieć z przykrością, że wtedy, kiedy my słyszeliśmy o zakończeniu się wojny, to byliśmy wściekli, że się skończyła i nawet w formie bardzo ostrej reagowaliśmy. Ale nas urządzili, wojna się skończyła, myśmy się nawojowali z lornetkami na dachach. I w trójkę poszliśmy do Komendy, jeszcze raz dowiedzieć się, o co chodzi, czy rzeczywiście takie zwycięstwo bez nas. Czuliśmy się zawiedzeni jako ci chłopcy naiwni, którzy nie wiedzieli, czym jest wojna i co ze sobą niesie. Szliśmy wściekli, że nie zdążyliśmy walczyć, ale wtedy już z nami nie rozmawiano. Owszem, tolerowano jeszcze, że tam jesteśmy, bo już nas znali służbowi podoficerowie i oficer służbowy komendy w Biurze Przepustek. Tolerowali, że myśmy się kręcili, jak się później dowie-

działem, takich sytuacji było więcej, ale nikogo nie było, który by wytłumaczył sytuację. Był taki jeden, który mówił: "idźcie stąd, nie kręćcie się tutaj, idźcie tam, gdzie wasze miejsce i tam czekajcie na dyspozycje". Co mieliśmy robić? Tym bardziej, że widzieliśmy, jak na ulicy ludzie się całują, światła się palą, gazeciarze krzyczą, że koniec wojny, że Hitler powieszony; ludzie jeden drugiemu przekazują informacje, wszyscy się cieszą dookoła, a my widzimy w Komendzie Miasta popłoch, płonie ognisko, palą dokumenty, część ładują na samochody. Choć taki popłoch, to jednak ten wojskowy porządek w pewnym stopniu był, były rozkazy, były kolejno grupy przydzielone do różnych zadań, ale widzieliśmy, w jak nerwowej atmosferze się to odbywało, i nie mogliśmy tego zrozumieć; tego co na ulicach i tego, co w Komendzie. W tym momencie gaśnie światło w mieście. Ciemno się robi tak jakby, powiedzmy, wysiadła elektrownia. Po wojnie tak to tłumaczyłem.

Po powrocie z Rosji wielokrotnie spotykałem się z pułkownikiem Okuliczem, tym, który był wtedy w Wilnie. Z jego synem byłem internowany w Związku Radzieckim i prawie dwa lata spędziliśmy na zesłaniach i razem wracaliśmy. Z nim, jako kolegą, studiowałem na Politechnice, on był na wydziale mechanicznym, ja zaś na elektrycznym i mieliśmy niektóre wykłady wspólne. Z całym domem byłem zaprzyjaźniony. Nie wiedząc o tym, że pułkownik jakąś rolę odgrywał wtedy w Wilnie, przy brydżu czy przy kolacji nawet poruszałem ten temat i w odpowiedzi słyszałem, że to było po to zrobione, żeby zabezpieczyć się przed prowokacją komórek komunistycznych. Te komunikaty były dla zastraszenia ewentualnej dywersji.

Ale wracajmy do Wilna. Zrozumieliśmy, że coś jest fałszywego w atmosferze. W końcu jeden z przychylniej nastawionych

oficerów powiedział nam: "Idźcie chłopcy na tę placówkę i tam czekajcie na informacje". Ja sądzę, że to był jeden z tych, co nie zgadzali się z ogólną akcją ucieczki na Litwę i już wtedy decydował się, że będziemy stawiali opór. Później takich oficerów gdzieś 12-15 widziałem. No ale cóż, jak myśmy przyszli, to widzimy taki obrazek: obsługa karabinów maszynowych postawiona w stan gotowości, wewnątrz przygotowywali się jak gdyby do jakiejś akcji, do środka nie wchodziliśmy. Oficerowie stali na takim jakimś podwórzu i to tak po bokach, w grupach dyskutując. Głupio było nam podejść i podsłuchiwać rozmowę, w końcu wojna. Stojąc z boku i czekając głupio nam było, bo nie wiedzieliśmy, co robić, i rzeczywiście, choć niechętnie, podsłuchiwaliśmy te rozmowy. Były jakieś wątki, łapaliśmy, że się coś organizuje, że coś się robi, że się nie zgadzamy. Łapiemy te kawałki rozmów, ale nie kojarzymy w jedną całość, nie wiemy, co będzie, jesteśmy zagubieni. I stoimy na tym podwórzu w szóstkę i czekamy, aż się ktoś nami zaopiekuje, nie wiemy, co z sobą zrobić. Jedną nadzieją jest to, że dom na zapleczu, no ale przecież nie będziemy się wycofywać, bo nie po to tu przyszliśmy. W tej sytuacji zupełnie niespodziewanie przechodził przez podwórze sierżant obładowany sprzętem wojskowym (to było koło 19⁰⁰-20⁰⁰) i do nas od razu z krzykiem: "A wy tu co, stoicie jak świece, zamiast brać broń i stawać w obronie miasta swego". Myśmy zdębieli. Tu nam broni dotąd nie dają, wszędzie jesteśmy jak natręci traktowani, a tu nam wymyśla, że nie bierzemy broni, amunicji, granatów i nie bronimy. Więc my od razu się meldujemy, że stoimy do dyspozycji. On na to: "Do żadnej dyspozycji, nie ma czasu na dyspozycje, bierzcie skrzynki z amunicją i idziemy". Okazało się, że amunicji i broni było w zapasie, mimo że nam nie

dawali. Może mieli jakieś rozkazy? W tym momencie magazyny były otwarte, mamy karabiny, amunicję, mówią nam, że mamy pociski przeciwpancerne w tych skrzynkach. Później okazało się, że nie, bo one świeciły, jak leciały, więc były świetlne. Nie wiemy, gdzie idziemy. Oficerowie dyskutują, sierżant dowodzi, żaden oficer nie włącza się do tego. W takiej atmosferze idziemy jak te owce za sierżantem. Idzie tych wyprężonych żołnierzy paru, obładowanych, umundurowanych i my, ci młodzi. Ja też nie byłem gorszy od tego chłopca polskiego w służbie, bo miałem 81 kilo wagi, byłem wysportowany, występowałem w reprezentacji młodzieżowej województwa, w harcerstwie działałem od szeregu lat, byłem odpowiednio przygotowany fizycznie i duchowo, ale wydawało mi się, że jestem kimś malutkim. I tak przeszliśmy ulicą Kalwaryjską. Muszę nadmienić, że ulica Kalwaryjska to ulica dość pionowo wznosząca się, tak samo jak Wileńska z góry trochę spadała. Sierżant bardzo szybko maszerował (on chyba jakieś dyspozycje dostał). My tą trzynastką za nim, bo było siedmiu żołnierzy i nas sześciu, wspięliśmy się na górkę po schodach i on mówi, że tutaj będziemy bronić przeprawy przez Most Zielony. Tam była na środku kapliczka z kamienia, otynkowana, tak mała, że ksiądz w czasie deszczu mógł wejść i się nie zmoczył, a reszta na deszczu mokła; taki placzyk był na szczycie i w jakieś tam święta ludzie się tam zbierali. Placzyk był - jak to określić? - z pięćdziesiąt metrów szeroki, a długi trochę więcej. Od Kalwaryjskiej pionowa ściana górki była zazieleniona, od strony mostu lekko skośna, prawie pionowa, natomiast tutaj z tyłu schodziła dość płasko, były schody, wchodziło się tędy na Zaułek Bołtupski. Tutaj powiedziano nam, że mamy się okopać, tylko nie mieliśmy się czym okopać, bo były chyba dwie łopaty, więc z tych

drzew, z konarów, które były z boku, robiliśmy zasłony i każdy jakieś stanowisko sobie wybierał. Poinformował nas sierżant, że zadaniem naszym jest nie przepuścić jednostek pancernych przez Most Zielony (zwykłymi karabinami!). Myśmy zostali w sześciu z kapralem. A sierżant ze swoją grupą poszedł na inne stanowisko. Jemu za mało było, że my na tym wzgórzu mamy piękny wgląd na Most Zielony, powiedział nam jeszcze, że zadaniem naszym będzie, jeżeli czołgi pójdą ulicą Wiłkomirską, zaatakować granatami. Mieliśmy skrzynkę zwykłych granatów obronnych. Poinformował nas też, że innej drogi czołgi nie mają, bo mają po dwóch stronach przeciwnika i pionową ścianę wzgórza. Po ewentualnym sforsowaniu mostu, jeżeli nie obronimy, pójdą ulicą Wiłkomirską, bo to kierunek na Litwę, a my mamy zaatakować ich z tej góry i zmusić ich do odwrotu. Zajęliśmy stanowiska.

Około północy usłyszeliśmy pierwsze strzały od strony Zarzecza, od strony Rossy, następnie od strony Zamku i wzgórza Trzech Krzyży, ale to może zasugerowanie tym, że podchorąży z ochotnikami miał podobno działko przeciwlotnicze, którym strzelał na wzgórzu. Słyszeliśmy echo bliższych strzałów poza czołgowymi wystrzałami, rozróżnialiśmy działka. Widać było błyski. Może myśmy byli na tyle niedoświadczeni, może ta góra zniekształcała, bo była trochę płaska, a myśmy się okopali tuż pod szczytem na promenadzie. Straciliśmy łączność z naszym sierżantem. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Słyszeliśmy serie karabinów maszynowych, grających bez przerwy, bo to ci nasi strzelali. Trochę wcześniej sierżant, cały spięty, tak że nie mógł ustać w jednym miejscu, polecił kapralowi zostać z nami, a on poszedł dalej na przedpole mostu, przez podwórze kościelne, przez ogród kościelny, na samym przedpolu

pod samym mostem placówkę zajęli, jakieś 50-70 metrów, a od nas było jakieś 100-120 metrów. Słyszeliśmy kanonadę, bicie działa gdzieś na wschodzie. Z uwagi na to, że czołgi sowieckie uciekały przez ul. Kościuszki w kierunku Biblioteki Wróblewskiej i potem pojawiały się tutaj, wylatywały boczną ulicą, podejrzewam, że w koszarach kawalerii było działko ppanc na przeciw ulicy Arsenalskiej. Wielu świadków mówi o tym, że czołgi sowieckie pod naporem tego działka zmykały w ulicę Arsenalską. Piszą, że mieliśmy działko, nieprawda, nie mieliśmy; piszą, że za barykadą worków z piaskiem na placówce Most Zielony stało działko, które ostrzeliwało czołgi i one uciekały. Nie! Znajdowało się ono u wylotu Arsenalskiej i przepędzało czołgi w głąb. Żaden czołg jednak nie został zniszczony. Był tam tylko jeden czołg, kilka metrów od mostu, w środku rzeki, zanurzony po osłonę blaszaną gąsienicy. Jechał po wpadnięciu do wody, póki silnik nie zgasł, i stał na środku rzeki. Nie widzieliśmy uszkodzeń.

Jak kaemy strzelały, to i my strzelaliśmy. Czołg, gdy strzelił i błysnął, to wszyscy strzelali w tym kierunku. Tak trochę przed północą widzieliśmy ten płonący czołg na ulicy Wileńskiej. Później inny czołg wyskoczył na most. Mówili nam, że most zaminowany, a tylko połączenia pozrywane. Wydawało nam się, że nie ma rady i że ten czołg musi przejść. Dojście do mostu było niemożliwe, bo prali do nas z karabinów i działek i ten czołg szedł prosto na most. W pewnym momencie tak jakby się potknął, zrobił lekki skręt z Wileńskiej, nie trafił na most, szedł koło mostu, wpada na wysoki, regulowany brzeg rzeki i choć jechał z wielką szybkością, nie przewraca się, tylko ześlizguje na dolny pomost. My go nie widzimy, ale słyszymy i nagle cisza kompletna. Był i nie ma. Prawdopodobnie

kierowca został ranny i ten czołg wjechał do rzeki, dokładnie do połowy. Nazajutrz widziałem, że miał zamknięte włazy, więc chyba załoga zginęła. To było około 2-3 w nocy.

Tam na placu Orzeszkowej, gdzie okopy pierwsze kopałem, gdzieś na rogach te czołgi się umieszczały i wyskakiwały w stronę mostu. Ten następny szedł ulicą Wileńską na Most Zielony, strzelał z działek i kaemów. Już trafił na most. Myśmy nie wiedzieli, co robić. Już łapaliśmy za granaty, bo myśleliśmy, że przejdzie, i wtedy ten czołg będąc w połowie mostu nagłym skrętem w prawo wbija się między dwa przęsła stalowe mostu. Wyglądało, że pędzi nie do zatrzymania, ale stanął wbity w połowie mostu.

Cały czas słyszałem kanonadę czołgów sowieckich, karabinów maszynowych, słyszeliśmy baterię nr 20 Balcerowicza, umieszczoną przy wzgórzach, ale echo niesło na całe miasto.

Nami w zasadzie nikt nie dowodził, nie mieliśmy żadnej łączności z innymi jednostkami, bez większego porozumienia sierżant poderwał grupkę do obrony. Niektórzy podają, że stłoczyliśmy na moście beczki z benzyną, samochody, to nieprawda, była jedna beczka. Około 4⁰⁰ rano zaskoczył nas straszliwy rumor. Ktoś mógł wziąć to za atak od strony Kalwaryjskiej. Jeśli by tak było, to moja dzielnica byłaby odcięta, a tak się nie stało. Placówka przeciwlotnicza podjęła próbę zniszczenia mostu w ten sposób, że dwustulitrową beczkę z paliwem, korzystając z pochyłości ulicy, spuściła na most. Niestety beczka nie trafiła w most, lecz w pierwszy filar mostu. Zahaczyła o filar pierścieniem. p

Później to właściwie czołgi już nie atakowały, choć strzelały do nas, ale pociski przenosiło nad górką lub uderzały u podnóża. Nad ranem pojawił się porucznik i podporucznik

i powiedzieli: "Spełniliśmy obowiązek, każdy na własną rękę przedziera się do domu".

Była około 4⁰⁰ rano 19 września. Ja miałem do domu około 15 minut. W momencie, gdy opuszczałem placówkę, było ciemno, gdy dochodziłem do domu, było już jasno. Było na tyle ciemno, że gdy uciekaliśmy, czuliśmy się bezpiecznie. Karabiny zostawiliśmy, wyjąwszy i wyrzuciwszy uprzednio zamki. To były nowiutkie polskie Mausery i parę skrzynek amunicji. Ale gdy przyszli oficerowie to ja próbowałem zwlekać, mając dom na za-pleczu. Od porucznika Kazimierza Kowalewskiego, tego, który przyszedł z podporucznikiem Henrykiem Pieliszem z jednostki karabinów przeciwlotniczych dowiedziałem się, że Sowieci zebrali około 20 karabinów przeciwlotniczych.

Czołgi sowieckie weszły na most, gdy było już jasno. Zepchnęli zaklinowany czołg na bok i około 5³⁰ pojechali w górę Kalwaryjskiej. W południe wyszedłem w cywilu na miasto. Oglądałem obydwa nasze czołgi, ten na moście i ten w wodzie. Sprawdzałem wiadomości o innych punktach oporu w mieście, bo to już był koniec obrony Wilna w 1939 roku.

Relacja uzyskana dzięki uprzejmości p. Czesława Grzelaka.